POLAK
W BRAZYLJI
Pismo tygodniowe — dla wszystkich —

17 Grudnia 1909 r. REDAKTOR I WYDAWCA *KAZIMIERZ WARCHAŁOWSKI.* *Rok V Nr. 51*

POLAK W BRAZYLJI

kosztuje:

Rocznie	8 milr.
Półrocznie	4 milr.
W Królestwie Polskim i Rosji	7 rubli
W Niemczech	14 marek
W Austrji	16 koron
W Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej	3 dolary.

Numer pojedyńczy kosztuje 200 rs.

Drobne ogłoszenia po 200 rs. za wiersz lub ego miejsce.

Adres dla listów i przesyłek pieniężnych:

„POLAK W BRAZYLJI“

Caixa postal Nr. 122

CURITYBA — PARANA — BRAZIL.

UWAGA. — Przesyłki pieniężne i wszelką korespondencję do Redakcji należy adresować, jak podano wyżej, — BEZ DODAWANIA JAKIEGOKOLWIEK NAZWISKA, gdyż adresowanie imienne sprowadzić może niepożądane opóźnienia w odbiorze listów. —

PRENUMERATĘ „POLAKA W BRAZYLJI“ przyjmują na warunkach redakcyjnych p. p.

Bolesław Kłossowski — Ponta Grossa.
Antoni Jakubowski — Agua Branca.
Józef Dytz — Ijuhy.
Paweł Tymoteusz Wielewski — Lucena.
Paweł Miecznikowski — Rio Claro.
Józef Brudziński — Rio dos Patos.
Jan Zwierzykowski — Sw. Barbara.
Wincenty Hamerski — Guarany.
Władysław Szulczewski — S. Feliciano.
Antoni Kurkiewicz — Rio Negro.
Edward Stelczyk — Porto Alegre.
Michał Sekuła — Araucaria.
Bronisław Wachowski — Argentyna.
August Jan Kwieciński — Candido de Abreu

Redakcja mieści się przy placu TIRADENTES Nr. 31

TELEFON N. 167

Redakcja otwarta codziennie od 8 rano do zmroku z wyjątkiem niedzieli.

Pszenica w Brazylji.

Ciąg dalszy.

Z jednej więc strony, wobec niemożności użycia narzędzi, z drugiej wobec konieczności nawożenia, kolonista zmuszony jest wogóle ograniczać swoje plantacje, w lasach—stosownie do ilości rąk roboczych w rodzinie, na gruntach już oczyszczonych—stosownie do ilości bydła, które posiada i którego może trzymać ilość nieznaczną wobec braku pastwisk. Rozsądnie więc robi, płantując wypróbowane rośliny i wystrzegając się wszelkiej bezmyślnej spekulacji i ryzyka. A posiewy pszenicy musielibyśmy właśnie do ryzykownych przedsięwzięć zaliczyć.

Pomijając, że nie wiemy jeszcze jakie gatunki dawać tu będą najlepsze rezultaty, że czas posiewu bynajmniej dla pszenicy nie jest ustalony, a dla rozmaitych jej gatunków będzie zapewne inny, pomijając powtarzam cały szereg pytań, które postawić sobie musi rolnik zanim przystąpi do produkowania tego zboża, z góry już wiemy, na co przy uprawie pszenicy będzie narażony. Rozpatrzmy się w tych przeszkodach.

Przedewszystkim musimy pamiętać, że pszenica jest rośliną delikatniejszą i znacznie bardziej wymagającą od żyta. Potrzebuje więc żyzniejszej ziemi, a nadewszystko wolnej od chwastów, które w Brzylji są plagą pól uprawnych. Żyto prędzej i silniej się krzewi niż pszenica, nim więc chwasty podrosną, głuszy je samo, a pszenica ma słabe korzenie i znacznie powolniej się rozwija, ztąd ziemia zachwaszczona zupełnie się dla niej nie nadaje, chwast bowiem zawsze pszenicę posiędzie. Na gruntach słabych, gdzie żyto dawać będzie jeszcze znośne rezultaty, pszenica wcale się nie uda.

Pszenica potrzebuje znacznej ilości wapna, którego jak wiemy, w glebie naszej jest mało, a wapnowanie połączone jest u nas z olbrzymimi kosztami z powodu transportu, dostępne więc

Maciek w powstaniu.

Opowieść na tle powstania w r. 1863

PRZEZ

SEWERA (GRYFFA).

C. d.

Chłop rad był z siebie, duma go bodła. W plutonie zaczynano wierzyć w jego rozum.

— Maciek gotów ci wyjść na oficera — szeptano.

Udawał, że nie słyszy, serce mu rosło, a odwaga pakowała się w nie.

O wiorstę drogi dźwigała się niewielka, lecz stroma góra, przecięta bitym gościńcem na dwoje. Przykrywały ją białe brzozy, podszyte gęstymi krzakami.

— Tu — szepnął Maciek, lecz tak głośno, że go usłyszał kapitan.

Pluton mimowolnie stanął, ze wzgórza widać było na pół mili drogę ciągnącą się z Kielc, a ku Szydłowcowi staczała się silnym spadkiem.

— Będzie im łatwo zmykać, nam jeszcze łatwiej za nimi gnać — odezwał się już pewny siebie Maciek.

— Śnieg odgarnąć, wyznaczyć miejsca dla oddziału — dawał rozkazy kapitan.

W pół godziny nadciągnęła cała bodzentyńska siła. Strzelców rozstawiono wzdłuż bitej drogi, kosynierów w dwóch szeregach za nimi.

Oczekiwanie jest straszne, kosynierom wychodziły oczy na wierzch, strzelcom drżały ręce — mówili, że zimno.

Po dwóch godzinach oczekiwania, na szosie ukazał się ciemny punkt. Rósł i zmieniając się w węża, wił przez całą długość wiorsty i świecił srebrną łuską na słońcu.

— Idą, idą — rozszedł się szept. Dowódzca wpatrywał się przez lornetę.

Na przodzie dragoni, za nimi rekruci, pochód zamykała piechota

Strzelców i kosynierów rozdzielono na dwie równe części. Jednych po jednej stronie góry, drugich po drugiej. Jedni mieli przywitać dragonów i zepchnąć ich z drogi, drudzy wpaść na piechotę i odrazu uwolnić rekrutów. Wąż rósł, pęczniał i wydłużał się. Zagrały trąbki, kolumny się ścieśniły, nasi na dany znak padli na ziemię.

— Nie podnosić się bez rozkazu, nie strzelać bez komendy — powtarzali oficerowie.

— Każdy niech swego bierze — zawołał Maciek.

Rozległ się miarowy odgłos kopyt koni, uderzających o twardą ziemie, zmieszany z nieregularnym chodem rekrutów.

Dowódca ukryty za drzewem powstał, czekał na piechotę, niecierpliwość szarpała nim, chęć zemsty za moskiewskie krzywdy paliła krew. Wytrwał jednak, dopóki szeregi piechoty nie zrównały się z leżącymi na ziemi strzelcami.

— Ognia! — zawołał głośno.

Dwieście strzałów padło. Konie dragonów stawały dęba i waliły się z jeźdzcani, piechota zmieszana zostawiając zabitych i rannych, cofała się bezładnie, rekruci rzucili się w las...

— Kosynierzy naprzód! marsz! niech żyje Polska! niech żyje ojczyzna!...

Las chłopów i las świecących kos wypadł na gościniec. Dragoni na widok ciemnych sukman i strasznej broni uciekali gwałtownym pędem, piechota plunęła ogniem i zleciała z góry!...

— Naprzód — wołali dowódzcy — naprzód wiara!

Kosynierzy lecieli jak opętani, radzi raz spróbować się z Moskalem. Nieświadomi niebezpieczeństwa, upojeni łatwym zwycięstwem, pędzili przed sobą całą chmarę. Bartek dysząc zazdrością na Maćka, leciał naprzód z fantazją, nasadziwszy na ucho baranicę.

Zagrały trąbki, szeregi piechoty rozstąpiły się, Moskale rotowym ogniem sypnęli... Strzelając z dołu zgórowali, lecz Bartkowi spadła czapka, kilku kosynierów przewaliło się.

— Kosynierzy w las — huknął dowódzca.

W jednym mgnieniu oka na drodze nie było nikogo. Strzelcy nasi wśród gęstego lasu rozsypani w tyraljerkę, prażyli Moskali zbitych w kolumnę.

I znowu zagrały trąbki. Kolumna moskiewska się cofnęła do fosy, rzucając połowę swej piechoty w tyraljery. Po drugiej stronie drogi, dragoni słysząc nieustające strzały, zatrzymali się. Na dany rozkaz zsiedli z koni i z karabinami w rękach, osłonięci wałem drogi i lasem, posuwali się ku naszym szeregom. Ogień szedł ostro i dzielnie. Maciek, wypróbowawszy karabin, nie zmarnował ani jendego ładunku. Moskale ośmieleni liczbą, zaczęli napierać, rzucając w tyraljery coraz większą liczbę żołnierzy, strzały gęstniały. Kosynierzy, mimo, że kule brzęczały po kamieniach, rzucili się na szosę, zabierając karabiny, ładownice i kożuszki.

Dragoni mszcząc się za porażkę, nacierali energicznie. Zachodziła obawa, aby nie oskrzydzili małej naszych garstki. Zresztą cel został osiągnięty, rekruci odbici, zwycięstwo odniesione, zapasy broni i ładunków zabrane — dano znak do powrotu.

Maciek cofał się ostatni. Schodząc z linji wpadł na szosę, wydobył z pod zapitego dragona karabin, zdarł z niego ładownicę, macał rannych pod kolanami... Raptownie ciepło mu się pod baranicą zrobiło, coś wilgotnego zalewało mu oczy, obtarł je rękawem, krew!..

Zamroczyło go, nie puścił jednak karabina i ładownicy, zeskoczył z gościńca do fosy i za drugimi poszedł w las.

Strzelcy szerokim łańcuchem okrywali odwrót, cofając się. Radość była wielka, rannych zabraliśmy wszystkich, dziesięciu tylko brakowało.

Siedemdziesiąt sztuk karabinów, tyleż ładownic, w nich tysiąc z górą naboi, pałaszy dragońskich trzydzieści, złapanych koni sześć i odbici rekruci, z których dwustu zwiększyło szeregi powstania... Te były trofea dnia dzisiejszego.

Wielka wesołość buchała wśród obozu. Mimo zmęczenia, nikt nie miał ochoty kłaść się, nawet siąść. Nerwy grały, ochota była wściekła, wymowa grała głośnymi wykrzykami.

D. c. n.

jest tylko dla tych co mieszkają w pobliżu kopalni wapienia, w który Brazylja, a szczególnie Parana wcale nie obfituje.

Pszenica podlega chorobie, która prawie nie dotyka żyta, mianowicie śnieci. W naszym klimacie choroba ta rozwijać się będzie silniej niż gdzieindziej. Wyhodowanie odmian odpornych, to rzecz przyszłości dalekiej, na razie jest to najpoważniejsza plaga, jaka grozi rolnikowi. Nie możemy pominąć milczeniem i ptactwa którego ofiarą padały dotychczas wszystkie próbne zasiewy. Koloniści spodziewają się, że przy większych posiewach plaga ta nie będzie miała znaczenia,—będzie dla nich i dla nas—powiadają, ale nie zupełnie; w lasach, gdzie najwięcej jest ptactwa i gdzie najtrudniej się od niego uchronić, kolonista nie w stanie jest robić znaczniejszych posiewów, ptactwo zaś nietylko dla tego napada i niszczy pszenicę że jej jest mało, ale przedewszystkim ponieważ ją lubi, żyta za nie tyka, bo go nie znosi.

Pozostają względy ekonomicznej natury. Odległe od rynków zbytu i od linji kolejowych kolonje, zmuszone jak to już wyżej powiedzieliśmy ograniczać swoje zasiewy, produkują mało co więcej, niż na swój użytek.

Niepomierne koszta transportu zniewalają je nadwyżkę urodzaju zbywać w formach cenniejszych, łatwiejszych do przewożenia i mniej tracących na tym przewozie jak mięso, słonina, drób, jaja, smalec, masło, ser i t. d., albo szukać dla zdobycia pieniędzy produktów po za rolnictwem, w postaci herwy naprzykład.

Pszenica więc, jako produkt obliczony głównie na eksport, nie ma tam racji bytu, nie opłaci bowiem przewozu; na użytek wewnętrzny jest za droga i mniej pewna, niż dotychczas uprawiane rośliny.

Na kolonjach koło Kurityby, lub wogóle centrów handlowych, uprawa pszenicy mogłaby prędzej rachować na powodzenie, niemniej, jeśli zważymy, że ziemie te są znacznie wycieńczone, że silniejsze nawożenie dałoby się przeprowadzić tylko po zmianie zupełnie samego systemu gospodarczego, mianowicie po przejściu do intensywnej kultury z bydłem na oborze i t. d., co wymaga kapitałów i umiejętności, czego nam brak jak dotychczas, musimy przyjść do przekonania, że i tu uprawa pszenicy na większą skalę w dzisiejszych warunkach się nie rozwinie.

Można by nam zarzucić, że skoro udaje się tu żyto i pomimo stosunkowo niższej na niego ceny niż na pszenicę, uprawa jego stopniowo się zwiększa, to i uprawa pszenicy mogłaby również mieć powodzenie; musimy jednak pamiętać, że przy uprawie żyta koloniści, przynajmniej w pobliżu kolei, osiągają podwójny, a nawet i większy zysk w ten sposób, że sprzedają słomę, która ma odbyt zapewniony na wyrób kapsli do butelek i przynosi prawie tyle z alkra co ziarno, po zbiorze zaś żyta kolonista w jakie sześć tygodni zbiera po ścierni pokos siana, cenionego na rynku, co cówneż przynosi przynajmniej połowę wartości ziarna.

Przy uprawie pszenicy wartość sprzedażną będzie posiadać li tylko ziarno, słoma jako krótsza i krucha nie będzie miała zbytu, na siano zaś kolonista liczyć nie może, bo jeśli nie uprawi doskonale gruntu, to nie będzie miał urodzaju pszenicy, a jeśli uprawi dobrze, to mu się siano nie puści. Z punktu widzenia gospodarczego sprzedaż słomy jest zbrodnią, powinna bowiem iść na ściółkę i w postaci mierzwy wracać na pole, ale jeśli bydła nie trzymamy na oborze, to i ściółka tymczasem jest zbędną, finansowo więc lepiej robi kolonista, że korzysta ze sposobności i osiąga w ten sposób największy możliwy dochód ze swego gospodarstwa.

Musimy zwrócić tu uwagę na inny jeszcze wzgląd bardziej technicznej natury. Mianowicie przy drobnych zasiewach, rozrzuconych po olbrzymich przestrzeniach nie ma mowy o jednolitości typu ziarna, będą go rozmaite gatunki, rozmaite kolory, rozmaita twardość, rozmaity stopień oczyszczenia, można być z góry pewnym, że cena takiego produktu będzie znacznie niższą od importowanego. Młyny wreszcie żeby produkować mąkę wyższych gatunków nie tylko potrzebują dobrego i jednolitego ziarna, musi ono być w pewnym stosunku złożone z rozmaitych gatunków pszenicy; z jednego tylko, nie może być dobrej mąki, dla tego to na rynkach światowych widzimy stale przesuwanie pszenicy z jednych rejonów jej uprawy do drugich, co tłómaczy się potrzebą dobrania odpowiedniej mieszaniny ziarna dla młynów.

Tu w Paranie mamy charakterystyczny przykład jak brak typu, jednolitości towaru wpływa na cenę i popyt.

Mianowicie zarząd wojskowy zakupuje ogromne ilości kukurudzy importowanej, bez względu że nieraz znacznie jest droższą, ponieważ tu na rynku parańskim, wobec nieznacznych zasiewów, braku większych składów i znaczniejszych partji ziarna w jednym ręku, nie podobna ustanowić typu, wagi, nawet gatunku. Pomimo najlepszej woli okazywanej przez zarząd wojskowy i wysiłków dostawców, nie byli oni w stanie dostarczać ziarna według jakiegoś umówionego typu, musieli więc zaprzestać kupowania na miejscu a zwrócić się do importu. Z pszenicą będziemy mieli to samo, młyny albo wcale nie zechcą kupować tej mieszaniny, która może pojawić się na rynku, albo ceny na nią ustanowią minimalne.

D. c. n.

Z całej Polski.

KWESTJA ŻYDOWSKA. Od dłuższego już czasu opinja publiczna całej Polski poruszana jest napastniczym tonem, jaki zaczęły przybierać żydowskie pisma względem polaków i całej polskiej sprawy.

Stosunek wrogi żydów do polskiego społeczeństwa, jaki trwał już oddawna, zaczęli w ostatnich czasach podsycać uciekinierzy z głębi Rosji, zwani „litwakami"; ci nie kryli się z tym, że lekceważą społeczeństwo polskie, które znękane, dłuższy czas nie stawiało oporu, ale miarka się przebrała, dziś wszystkie nasze pisma, wszystkie grupy polityczne zaczęły wzywać społeczeństwo do energicznego odporu. Żydzi w Polsce chcą dziś być niemcami, lub moskalami, jak któremu wygodniej, wolno im to, ale nie wolno korzystać z miana obywateli kraju, który zdradzają, ani sięgać po prawa, które naród sobie wywalcza.

Z ankiety, przeprowadzonej przez jedno z pism żydowskich, z głosów prasy, żydzi mają sposobność przekonać się, że dążenia nacjonalistyczne muszą wywołać odpór ze strony społeczeństwa polskiego. Wobec zachowania się nacjonalistów żydowskich, stracili cierpliwość nawet tacy wolnomyśliciele jak Andrzej Niemojewski, ludzie nawet tak gołębiego serca, jak Bolesław Prus. W jednej z ostatnich kronik swych w „Tygodniku Illustrowanym", Bolesław Prus, przyznając żydom rozliczne cnoty, nie wahał się skonstatować zarazem, że

„przyczyną wszystkich zatargów między innymi narodami a żydami jest—ich kamienny egoizm nacjonalistyczny".

Stwierdził również Prus, że

„stosunek niektórych grup żydowskich do Polaków jest nietylko niegodziwy, ale wprost nieprzyzwoity."

Przypomniał Prus, że żydzi walczą czynnie z kooperatywami, nie chcą im wynajmować mieszkań w swoich domach, że żydzi roszczą pretensje do dzierżawienia młynów w całym kraju. Dodamy jeszcze—do całego handlu zbożem, bydłem, drzewem i t. d.

„Wobec tej (żydowskiej) organizacji—pisał Prus—odznaczającej się energją, inteligencją, przebiegłością i wytrwałością, nasze uspołecznienie wygląda, niby mokra glina którą można mieszać, krajać, dziurawić, nawet wyrzucić".

Przypomniał również Prus, że żydzi domagający się równouprawnienia, faktycznie korzystają z następujących wobec ludności polskiej przywilejów:

„1-mo. Mają swój samorząd gminny, do którego nie mieszał się nigdy żaden Polak; 2-do. Posiadali i posiadają mnóstwo, ale to mnóstwo stowarzyszeń ekonomicznych, filantropijnych, oświatowych; 3-io. Prawie każdy żyd umie czytać, pisać i rachować, dzięki szkółkom elementarnym które żydzi w swoim języku mają, a jakich nam mieć nie wolno; 4-o. W razie konkurencji z chrześcijanami nie robią sobie ceremonji, t. j. nie dopuszczają do współzawodnictwa i jeszcze w niebogłosy narzekają na ucisk!"

W ostatnim numerze „Tygodnika Illustrowanego" Prus słusznie zwraca uwagę, że zbyt mało znamy żydów, wreszcie zwraca uwagę na straszliwą anomalję—na oddanie przemysłu i handlu w ręce żydowskie:

„Cóż to za straszna ironja losu!—woła Prus.—Nietylko dźwigać łańcuchy, ale jeszcze mieć cudzy żołądek i cudzy system krwioobiegowy, który od czasu do czasu odzywa się:

Ja nie jestem wasz!... ja jestem prawdziwy rosjanin.. prawdziwy niemiec... prawdziwy rusin Ja wreszcie jestem prawdziwy żyd!"

Pomimo to wszystko, Bolesław Prus jest zwolennikiem równouprawnienia żydów, wychodząc z zasady, że przywileje osłabiają naród, który z nich korzysta.

Ale z jakichże to przywilejów -- zapytamy korzystają, lub korzystać będą polacy na własnej ziemi?

CO POCZĄĆ Z WOZEM DRZYMAŁY? Jak wiadomo, najwyższy Trybunał administracyjny zawyrokował w ostatniej instancji, że gospodarzowi Drzymale w Pogradowicach, nie wolno mieszkać w wozie cygańskim. Wobec tego nasuwa się pytanie, co począć z wozem podarowanym mu przez społeczeństwo. Poruszono myśl, aby ofiarować go, jako okaz kultury pruskiej, projektowanemu muzeum na Wawelu. Tymczasem wydawca „Kupca" p. Gustowski, występuje z propozycją inną.

Przypomniawszy, że Liga Pomocy Przemysłowej w Galicji urządza wystawy ruchome przemysłu swojskiego, p. Gustowski porusza myśl urządzenia takich samych wystaw przy pomocy wozu Drzymałowskiego w zaborze pruskim. Przeprowadzenie tego pomysłu wyobraża sobie w sposób następujący:

„Powstaje towarzystwo z ograniczoną poręką, składające się z reprezentantów naszego wytwórczego przemysłu, kupuje wóz Drzymały i urządza w jego wnętrzu wystawę wyrobów swojskich naszej dzielnicy, Prus zachodnich, a może i takich wyrobów z Galicji i Królestwa Polskiego, któreby się zalecało tu importować. Wóz objeżdża po miasteczkach, oraz większych wsiach i jest już jako wóz Drzymały niejaką atrakcją, zachęcającą do zwiedzenia wystawy.

Tydzień polityczny.

Obecnie coraz więcej zarysowuje się zwrot w polityce rosyjskiej, który odbić się musi na ogólno-europejskim nastroju.

Sprzedaż kolei wschodnio-chińskiej Japonji, a jednocześnie rozpoczęcie walki dyplomatycznej z Austrją, dowodzą, że Rosja chce zlikwidować interesa swoje w Mandżurji dla uzyskania swobody ruchów w polityce europejskiej, pozyskać bądź co bądź utracone wpływy w stosunkach na półwyspie Bałkańskim, a przedewszystkiem odzyskać sympatje między słowiańskimi państewkami oczyszczeniem się z zarzutu, że Rosja gotowa była sprzedać Austrji Bośnię za wolny przejazd przez cieśninę Dardanelską.

Rosja poniósłszy dotkliwą klęskę na wschodzie azjatyckim i utraciwszy z tego powodu powagę mocarstwową w Europie, rzuca się obecnie w kierunku przeciwnym dla wzmocnienia swej nadwątlonej pozycji i została podrażniona obecnie niepowodzeniem wywołanego zatargu bośniackiego z Austrją.

Na tej drodze spotkała się Rosja z Włochami niezadowolonymi z trójprzymierza i nie mogącymi zapomnieć o swoim dawnym panowaniu na morzu Adrjatyckim. — Wynikły zjazd cesarza rosyjskiego z królem włoskim w Racconigi był właśnie owocem tej poniekąd wspólności interesów wymienionych państw.

Otwarte zaznaczenie jednego z urzędowych biur włoskich, że wskutek zmiany stosunków na Bałkanach, Włochy wchodzą w ściślejsze stosunki z Rosją, wykazało zmniejszenie sympatji ku Austrji, które następnie objawionym zostało w nadzwyczaj jaskrawy i wyzywający sposób. Komendant korpusu rozłożonego nad granicą austrjacką, generał Asinari wskazał w przemówieniu do żołnierzy otwarcie na wojnę z Austrją o prowincje pograniczne i Dalmację. — Ten występ stanowi miarę nerwowości, jaka zapanowała w stosunkach politycznych. W Rzymie spostrzeżono się, że stosunki zaostrzają więcej niż tego wymaga interes państwa. Wojowniczy generał otrzymał dymisję. — Występ gen. Asinarego, w którego świetle ujawniła się groźba wojny, wywołał pewne otrzeźwienie. Rozdrażnienie wywołane czy to niezadowoleniem ze stosunków, czy też chorobliwą podejrzliwością istnieje nadal, zarówno w Petersburgu jak w Rzymie i Wiedniu.

Istnieją więc obecnie ogromne niebezpieczeństwa, zagrażające pokojowi powszechnemu w następstwie zwiększającego się podniecenia na południowym wschodzie Europy.

Gdy w Teheranie zebrał się nareszcie parlament, wybrany na podstawie nowej liberalnej ustawy, aby uregulować rozwichrzone stosunki państwowe w duchu konstytucyjnym, na prowincji podnosi znowu głowę reakcja i czynią się przygotowania do nowego zamachu stanu i przywrócenia władzy zdetronizowanemu szachowi. Środowiskiem tego ruchu jest miasto Ardebil, a na jego czele stoi wierny zwolennik Mahometa-Alego, Rakimchan. Zamierza on wyruszyć na czele siły zbrojnej do Teheranu, aby opanować stolicę i osadzić swego protegowanego ponownie na tronie, a charakterystyczny jest szczegół, że w środowisku ruchu reakcyjnego, Ardebilu, znajduje się oddział kozaków rosyjskich. Zdaje się, że jakkolwiek nie ma już w Persji Lachowa a rząd petersburski uznał formalnie usunięcie Mahometa-Alego, jak dawniej tak i obecnie reakcja znajduje nieurzędową ale skuteczną podporę w wojskach „białego cara".

Rząd perski jest zdecydowany na energiczne stłumienie reakcji i wysłał do Ardebilu znaczne siły zbrojne z armatami maszynowemi. Około 4000 żołnierzy zbliża się z trzech stron do siedliska reakcji. Dalszy rozwój stosunków zależy przedewszystkiem od tego, jakie stanowisko wobec rządowych wojsk perskich zajmą kozacy rosyjscy.

W australskich kopalniach węgla zastrajkowali nagle wszyscy robotnicy z powodu zatargów o płacę, a brak węgla odbija się w sposób dotkliwy na całej produkcji przemysłowej kraju, handlu i ruchu komunikacyjnym. Ustał wywóz wełny i zboża a każdej chwili oczekują stanięcia elektrowni i gazowni.

Istnieje zamiar sprowadzenia węgla z Japonji. Tymczasem zaś władze kolejowe zabierają na swój użytek wszystkie zapasy węgla krajowego i dowożonego z za morza. Ceny węgla podniosły się o 100 procent.

Rada syndykatu górniczego w Nowej Walji południowej, oraz syndykaty robotników portowych w Sydney i New Castle zawezwały dyrekcje kopalń, aby wysłały swoich przedstawicieli na wspólną konferencję z przedstawicielami strejkujących, celem zawarcia ugody. Jeżeli konferencja nie dojdzie do skutku lub nie wyda pożądanego dla robotników rezultatu, zastrejkują także robotnicy portowi i zatrudnieni przy przewozie węgla, a prawdopodobnie także mularze i kamieniarze.

Głośny zamach fanatyka indyjskiego Dinghra na przedstawiciela władzy angielskiej w Indjach o którym donosiliśmy w swoim czasie nie pozostał odosobniony. Propaganda czynu i zemsty ma najwidoczniej wśród Hindusów w cesarstwie Indyjskiem liczniejszych zwolenników, niż dotąd mniemano w Londynie. Przed kilku dniami wykonano w Ahmedobadzie zamach dynamitowy na wicekróla earla Minto, a tegoż samego dnia rzucono do niego dwukrotnie oszczepami.

Gdy wicekról w towarzystwie małżonki w otoczeniu świty odbywał objazd uroczysty po mieście, z tłumu rzucono do powozu dwie bomby. Jedną jadący obok powozu żołnierz odbił pałaszem, druga upadła na parasolkę, którą trzymał nad głową lady Minto służący. Żadna z bomb nie eksplodowała. Jedna z nich wybuchła dopiero, gdy ktoś z tłumu chciał ją podnieść i zraniła go ciężko.

W kilku minut później rzucono do wicekróla z pośród tłumu dwa oszczepy. Jeden z nich odbił pałaszem jadący obok wicekróla podoficer, drugi ranił lekko jednego z podoficerów krajowych.

Wiadomość o tych zamachach sprawiła w Anglji wielkie wrażenie.

Kronika zagraniczna

AUSTRO-WĘGRY.

W Wiedniu szalał tak silny huragan, że trzynaście osób doznało pokaleczeń i potłuczeń, z powodu, że wicher rzucał je o ziemię, o mury, o tramwaje i doróżki.

Jednego z przechodniów, który chciał schwytać zerwany kapelusz, wiatr rzucił do kanału rzeki Wiedenki, gdzie ugrzązł tak głęboko w mule, iż z trudem udało się go wydobyć z tej niewygodnej pozycji. Pewną służącą, która była tak nieostrożną, że na taki wicher otwarła parasol, wiatr rzucił do jednego ze sklepów, wybijając nią szybę wystawową.

NIEMCY.

W Berlinie orkan pokaleczył na ulicach przeszło 30 ludzi, a w ogrodach w Berlinie i okolicy poobalał mnóstwo drzew. W Karkonoszach szalała straszna zawieja śnieżna. Na jeziorze tegerskiem burza zatopiła łódź z wioślarzem. Z Kilonji i z Cuxhaven donoszą o burzy morskiej, jakiej nie było od lat wielu, tak, że należy obawiać się rozbicia się wielu okrętów.

Korespondencje.

Kol. Candido de Abreu dn. 5 XII--09.

Wychodząc z przekonania, że sprawozdania szkolne z każdej istniejącej szkoły powinny być, choćby tylko raz w roku, ogłaszane dla zaznajamiania szerszego ogółu ze wzrostem i postępem szkół naszych; przesyłam z nowo zakładającej się kolonji Candido de Abreu, następujące sprawozdanie szkolne:

Istniejąca od sierpnia b. r. szkoła polska we wspomnianej kolonji pięknie się rozwija. Zaraz na początku założenia szkoły zapisało się do niej dziatwy około całej kopy; liczba ta stale wzrasta i obecnie zapisanych jest już przeszło 70 dzieci. Niestety, szkoła mieszcząca się dotychczas w dwóch skromniutkich budynkach, nie może tej liczby pomieścić, dlatego też nie wszystkie dzieci z niej korzystać

mogą. W jednym budynku uczą się dziewczynki, a w drugim chłopczyki. Nauka trwa dziennie godzin 5, t. j. od 9-ej zrana do 2-ej po południu, z przerwą na obiad.

Program nauki następujący: Czytanie i pisanie polskie i rusińskie, a dla umiejących już poprawnie czytać i pisać, także nauczanie brazylijskie; dalej rachunki w zakresie czterech działań arytmetycznych, opowiadanie z dziejów ojczystych i krajoznawstwa naszego, katechizm i śpiew. Dziatwa do nauki lgnie chętnie. Połowę dziatwy stanowią polacy, a drugą połowę rusini; wiek dzieci 6—12 lat: wszystkie pochodzą z pod zaboru austryjackiego. Nauka udziela się bezpłatnie.

W dniu 5-go b. m. dziatwa rozpuszczoną została na wakacje, które potrwają do 10-go stycznia r. przyszłego. — Publicznego popisu szkolnego w bieżącym roku być nie mogło, ze względu na kilkumiesięczne zaledwie istnienie szkoły. Także obchód rocznicy listopadowej, pomimo najszczerszej chęci, z braku mieszkania odbyć się nie mógł; zastąpiono go jednak, tłómacząc dziatwie w dniu tym, znaczenie tej ważnej i drogiej dla każdego prawego serca polskiego pamiątki narodowej — wszystkie rocznice nasze nadal ściśle zachowane i uczczone przez szkołę będą.

Tak prędkie założenie w dopiero od pół roku zaludnionej kolonji, szkoły polskiej, zawdzięcza się jedynie tylko dyrektorowi kolonji, p. Ed. Saporskiemu, który zaraz od czasu osiedlenia się tutaj pierwszych emigrantów, do szkoły zachęcał, namawiał; aby jaknajprędzej, jaknajszybciej zająć się dziatwą, nie pozwalając jej na próżnowanie i zapominanie tego, czego się w kraju już nauczyła. Dlatego też nie czekając na budowę własnego domu, szkoła istnieje. Tenże sam p. S. moralnie i materjalnie szkołę popiera i jest prawdziwym opiekunem i dobroczyńcą uczącej się dziatwy; za co też niech mi wolno będzie w imieniu tej dziatwy, na tem miejscu złożyć Mu najszczersze podziękowanie.

Kierowniczka szkoły

Anna Skawińska.

Szanowna Redakcjo!

T-wo „Łączność i Zgoda“ w São Paulo urządziło w dniu 28 Listopada b. r. obchód rocznicy powstania listopadowego.

Przy bardzo licznym zgromadzeniu rodaków, obchód wypadł imponująco. Na program złożyło się: odczyty, kilka mów, deklamacji i śpiewy patryjoyczne.

Z prawdziwą przyjemnością widzimy, że rodacy nasi z zadowoleniem biorą udział w obchodach patrjotycznych. Do deklamacji i śpiewów werbujemy dziatwę, co bardzo dodatnio wpływa tak na rozwój ducha narodowego, jak też na kształcenie języka ojczystego.

Zachować tu odrębność językową jest bardzo trudno, bo kolonja polska jest nieliczna i Rodacy przeważnie mieszkają pojedyńczo rozrzuceni po całym mieście.

Pozostajemy z szacunkiem i poważaniem

Prezes Adam Scher. Sekretarz A. Pietrasiński.

KRONIKA.

RIO DE JANEIRO. — Policja zabroniła wylądować 70 terrorystom rosyjskim przybyłym z Argentyny, których rząd argentyński wydalił z kraju z powodu zamachu na życie szefa policji w Buenos Aires.

Dnia 7 b. m. umarł prezydent stanu Piauhy dr. Anisio de Abreu.

„Czarna Ręka“ w dalszym ciągu przypomina kupcom i przemysłowcom w Rio o swoim istnieniu. W ubiegłym tygodniu kilka domów handlowych ponownie otrzymało listowne wezwanie wypłacenia pewnych sum pieniężnych, na rzecz wspomnianej organizacji.

Jeden z deputowanych w kongresie podał projekt utworzenia banku rolniczego.

STREJK. Trwający już od dłuższego czasu strejk robotników kolejowych w Stanie Bahia przybiera coraz groźniejszą formę.

Według ostatnich wiadomości wszyscy strejkujący są uzbrojeni nawet w broń palną i są zdecydowani popierać swe żądania z bronią w ręku. Dotychczas już rozpoczęli palić wagony i niszczyć lokomotywy, przyczyniając tym kompanji kolejowej olbrzymie straty. — Prezydent republiki polecił ministrowi wojny wysłać odpowiedni oddział wojska dla przywrócenia porządku, i pomocy władzom śledczym w przeprowadzeniu badań.

Z GRANICY. Na terytorjum spornym, trzeba się spodziewać nowych zatargów. Znana awanturnicza banda Aleixo Gonçalvesa, obecnie według depeszy z Rio Negro, otrzymała broń wojskową i przygotowuje się do napadów na posterunki przy bareirach Bateas i Lageados. Jeżeli wieści te sprawdzą się, możemy się spodziewać zbrojnego starcia między naszym stanem a S-ta. Kataryną, która jak widać, postanowiła użyć wszelkich środków aby zawładnąć spornym terytorjum. Na posterunkach Castilhos 9-go b. m. w nocy grupa nieznanych awanturników urządziła napad. Napastnicy zostali odparci przez żołnierzy policyjnych po wymianie kilku strzałów.

ZE STATYSTYKI. Rok bieżący okazuje się nader pomyślnym dla Brazylji, wykazując znaczny postęp w stosunku do lat ubiegłych, o czym już nadmienili śmy w poprzednich numerach. Niżej podajemy obliczenia statystyczne wwozu i wywozu różnych artykułów w Brazylji w przeciągu trzech lat ostatnich, przyczym rok bieżący jest obliczany tylko do Października.

Wwóz różnych artykułów z zagranicy do Brazylji, według wartości pieniężnej przedstawia się następująco:

			funty szterlingi
w 1907 r.	na	528.425$.	33.222.837.
w 1908 r.	„	476.405$.	29.806.379.
w 1909 r.	„	480.071$.	30.030.418.

Wywóz za granicę jest następujący:

			funty szterlingi
w 1907 r.	na	744.153$.	46.857.645.
w 1908 r.	„	547.695$.	34.264.049.
w 1909 r.	„	759.125$.	47.498.315.

Czyli wywóz za granicę przewyższa wwóz artykułów:

			funty szterlingi
w 1907 r.	na	215.728$.	13.634.808.
w 1908 r.	„	71.289$.	4.457.670.
w 1909 r.	„	279.054$.	17.867.897.

Z wywożonych produktów kawa i kauczuk zajmuje pierwszorzędne miejsce.

Dla więcej szczegółowego zaznaczenia powiększenia się wywozu za granicę. podajemy obliczenia wywozu dziewięciu głównych artykułów, tylko za miesiąc Październik przez ostatnie lata.

Wartość przedstawiona w funtach szterlingach.

Wywieziono w Październiku

		roku 1908	i 1909 r.
Kawy	na	3.987.912.	4875.151.
Kauczuku	„	1.209.651.	2.145.406.
Tytoniu	„	21.208.	54.220.
Cukru	„	63.766.	20.929.
Herwy	„	173.415.	174.010.
Kakao	„	235.239.	190.351.
Bawełny	„	7.047.	81.567.
Skór	„	101.481.	126.940.
Wełny	„	31.646.	75.767.
Razem		5.831.365.	7.744.341.

ESPERANTO. Kongres stanowy parański upoważnił rząd stanowy do wprowadzenia do programu szkół początkowych nauki języka międzynarodowego esperanto.

BRACTWA ZAKONNE im. „Serca Jezusowego“ i „Serca Marji Panny“ w Itaitubie w st. São Paulo, zostały zawieszone w czynnościach swych przez arcybiskupa Duarte, z powodu wykrycia różnych skandalicznych szczegółów z ich życia.

Z BOM JARDIM donoszą: Dnia 10 b. m. znany tam awanturnik niejaki Sidonio, napadł na tamtejszego obywatela Felicio, chcąc go zamordować, w wynikłej z tego powadu walce, Sidonio został zabity. — Powodem do całego tego krwawego zajścia, była jakaś nieznacząca kłótnia.

Sidonio znany z awantur i bójek, stale odwiedzał wendy, gdzie zmuszał siebie częstować różnymi napitkami i terroryzując spokojnych obywateli za pomocą noża, lub pistoletu, zuchwalstwo swoje posuwał do tego, że wchodził do mieszkań prywatnych i urządzał tam awantury.

Owego pamiętnego dnia Sidonio jadąc konno, zobaczył po drugiej stronie ulicy idącego Felicio, wyciągnął pistolet i strzelił do niego, lecz ponieważ chybił, zeskoczył z konia i z nożem rzucił się na Felicio, zwalił go na ziemię i byłby go zamordował, gdy nadbiegł jeden z robotników Felicia i uderzył Sidonia drągiem w głowę; Felicio skorzystał z chwilowego obezwładnienia przeciwnika i również chwyciwszy drąg, począł bić napastnika, po kilku uderzeniach, Sidonio leżał martwy.

Felicio z robotnikiem zostali aresztowani, zostaną jednak uwolnieni po wyjaśnieniu zajścia.

SAMOBÓJSTWO. Dnia 14 b. mies. o godzinie 1 po południu w Kurytybie w domu przy ulicy Dr. Muricy, powiesił się na drzwiach, major João Saturnino, sekretarz szefa policji. Powodem do samobójstwa posłużyła nieuleczalna choroba, na którą od dłuższego czasu zapadał major. Samobójca zostawił żonę i dwóch synów małoletnich.

W ARAUKARJI w jednej z wend, niejaki Manoel Vieira pokłóciwszy się z Salvador Victorino, wyjął pistolet i dał dwa strzały do tego ostatniego, Victorino śmiertelnie raniony upadł na ziemię lecz ostatnim wysiłkiem wyciągnąwszy pistolet śmiertelnie ugodził wystrzałem swego napastnika. W rezultacie napadnięty i napastujący po kilku minutach zakończyli życie.

T-WO SZK. LUDOWEJ W BRAZYLJI. Wyszły z druku i są do nabycia bilety na loterję T-wa, dochód z której wyłącznie jest przeznaczony na budowę własnego gmachu T-wa

Bilety są do nabycia u wszystkich członków komitetu loterji.

Loterja NA BUDOWĘ GMACHU W KURYTYBIE T-WA SZKOŁY LUD. W BRAZYLJI.

NABYLI BILETY:

Dr. Affonço Camargo N. 251, p. Bohdan Mikoszewski N.N. 211, 212, 213, 214, 215; p. Konstanty Lekczyński N.N. 216, 217; p. Antoni Sieradzki N.N. 218, 219, 220; p. Antoni Szwedowski N.N. 221, 222; p. Franciszek Bayer N.N. 225, 226; p. Jan Mańkowski N.N. 228, 246; p Jan Łopuszyński N. 229; p. Jan Żubiński N. 230; p. Marja Mańkowska N. 66; p. Leon Nowicki N.N. 51, 70; p. Stanisław Neyman N.N. 252, 233; p. Edward Olszowski N.N. 254, 255, 256, 257, 258.

Od administracji.

PRENUMERATĘ ZA CAŁY ROK 1906 nadesłał p. Władysław Wilkoszyński.

PRENUMERATĘ ZA CAŁY ROK 1907 nadesłali p. p. Władysław Wilkoszyński, Jerzy Radziewicz.

PRENUMERATĘ ZA CAŁY ROK 1908 nadesłali p.p. Wincenty Lemański, Zygmunt Nowakowski, Jerzy Radziewicz, Jan Mroziński. Jan Zwierzykowski.

PRENUMERATĘ ZA I PÓŁROCZE 1908 r. nadesłał p. Władysław Wilkoszyński.

PRENUMERATĘ ZA II PÓŁROCZE 1908 r. nadesłał p. Leon Obadowski.

PRENUMERATĘ ZA CAŁY ROK 1909 nadesłali p.p. Marcin Skalski, Teofil Jadach, Wincenty Lemański, Jan Zawadzki, Jan Krygierowicz, Leon Obadowski, Jan Mroziński. Franciszek Pałaszewski, Franciszek Szymański, Michał Gaczyński, Walenty Świnka.

PRENUMERATĘ ZA II PÓŁROCZE 1909 r. nadesłali p. p. Józef Szczypkowski, Józef Rozpędowski, Franciszek Bielik.

PRENUMERATĘ ZA I PÓŁROCZE 1909 r. nadesłał p. Jerzy Radziewicz:

PRENUMERATĘ ZA I KWARTAŁ 1909 r. nadesł. p. Jan Zwierzykowski.

PRENUMERATĘ ZA III KWARTAŁ 1909 r. nadesł. p. Andrzej Szajko.

PRENUMERATĘ ZA IV KWARTAŁ 1909 r. nadesł. p. Józef Niczewski.

PRENUMERATĘ ZA CAŁY ROK 1910 nadesłali p. p. Franciszek Szybesta, N. lot. 10. Maciej Czeluśniak, N. lot 11. Stanisław Karkowski, N. lot. 12. Jakób Sobański, N. lot. 13. Józef Szczypkowski, N. lot. 14. Władysław Topaczewski, N. lot. 15. Jakòb Burkot, N. lot. 16. Konstanty Czebruk, N. lot. 17. Józef Niczewski. N. lot. 18. Robert Łukaszek, N. lot. 19. Stanisław Mroczyński, N. lot 20. Michał Gaczyński, N. lot. 21. Seweryn Zdanowicz N. lot. 22 Walenty Świnka N. lot. 23.

PRENUMERATĘ ZA I PÓŁROCZE 1910 r. nadesłał p. Józef Rozpędowski.

Odpowiedzi od Redakcji.

P. W. Roguskiemu.—Prowizoryczny zarząd niedoszłego Związku Polskiego w Brazylji ukonstytuował się w czasie nieobecności naszego redaktora; zupełnie nam niewiadomo czy zarząd był upoważniony i przez kogo do kolektowania i wydawania pieniędzy. W sprawie tej najlepiej Sz. Pana objaśni były przewodniczący owego zarządu p. J. Słończewski który obecnie bawi w Ponta Grosie, były skarbnik tegoż zarządu p. K. Lekczyński, wreszcie ks. Jan Peters obrany prezesem Związku.

DZIAŁ POWIEŚCIOWY.

WACŁAW GĄSIOROWSKI

ROK 1809

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z EPOKI NAPOLEOŃSKIEJ

21

Poniatowski z pobłażliwym uśmiechem słuchał konceptów Hebdowskiego, obojętnym wzrokiem poglądał na przeciwległy koniec stołu, kędy Karmenecki, ciągnący bank, trzecią z rzędu wygranę mu zwiastował.

Ukazanie się Fiszera przerwało panującą wesołość. Towarzysze księcia usunęli się na stronę, byle nielubianemu przez nich szefowi sztabu z drogi zejść, a ostrej uwagi uniknąć. Książę nawet, na widok Fiszera, podniósł się na łokciu, przybierając mniej zaniedbaną pozycję.

— Wasza książęca mość, pułkownik Godebski — rzekł Fiszer, wskazując z ukłonem na pułkownika.

— To waszmość... rad jestem cię widzieć... rad bardzo!...

— Udając się na linję bojową... uważałem sobie za obowiązek!...

— Dziękuję ci!.. Ufam sprawności i twojemu męstwu!... Ósmy pułk jeden z najdzielniejszych!... A tym znakomiciej stawić się będzie niezawodnie, że pod twoim okiem pułkowniku!...

— Będę sobie poczytywał za obowiązek nie zawieść pochlebnego mniemania waszej książęcej mości — odrzekł Godebski.

Poniatowski chciał był wyciągnąć rękę do pułkownika na znak pożegnania, gdy stojący tuż za plecami księcia Nowicki pochylił się i jął mu coś do ucha szeptać. Książę skrzywił się i spojrzał niechętnie na Godebskiego. Pułkownik z właściwą sobie przenikliwością odgadł intencję wzroku i szept książęcego zausznika i nie zważając na skinienie Fiszera, który mu dawał znaki, że posłuchanie jest skończonem — odezwał się śmiało.

— Zanim stąd odejdę, muszę prosić Waszej książęcej mości o darowanie mi mimowolnego uchybienia, którego tu się dopuściłem.

— Nie rozumiem cię pułkowniku!...

— Dążąc po rozkazy do głównej kwatery, nie spodziewałem się zastać dam przed podjazdem i obsiedłem się z ich służbą, jak z krnąbrnymi ciurami.. a w następstwie zmuszony byłem dać nauczkę jednemu z podporuczników, który snać nie ma wpojonego zachowania należnego randze.

— Zbytnio przejmujesz się mości pułkowniku! przerwał niecierpliwie Poniatowski. — Sprawa ta jest mi znaną — nie mam nic do niej!... W obozie nie ma recepcyj! Dama, która ci zasłoniła przejście, może winić samą siebie... Podporucznikowi się nie dziw... młody!

— Wasza książęca mość, jam się już nie od dziś dziwić przestał... lecz podporucznika porywającego się do pałasza na pułkownika..

— Zapalczywy! Napomnienie dostanie!... Krew!

— Do bezładu, do nieuszanowania!

Poniatowski powstał nerwowo z miejsca i wyprostował się.

— Mości Godebski, czas, abyś ty i równi ci wiekiem i rangą oficerowie wyrzekli się tej zgryźliwości dla młodzieży, która się do sztabu garnie... I oni chcą służyć! I oni mają też same prawa stawać w szeregach, co i wy!... Nie ujmuję wam, żołnierzom legji, zasług położonych, lecz nie w obozie imponujcie młodzieży, ale tam na polu bitwy!

— Wasza książęca mość! — rzekł głucho Godebski — tu imponować bym nie mógł, bo ani majątku do trwonienia nie mam, ani karku do łamania, a tam... da Bóg, potrafię!

Godebski skłonił się księciu i wyszedł z izby. Gdy mijał stół adjutantów, ścigały go ironiczne uśmiechy, impertynenckie spojrzenia. Pułkownik raczej czuł je, niż widział. Mimo całej woli, hartu, a zimnej krwi, posłuchanie u księcia wstrząsnęło nim do głębi. Za tyle lat służby, za tyle poniesionych trudów, za ten mundur, drogą tylu ofiar zdobyty... spotkała go nauczka! Nauczka, bo nie zniósł afrontu młokosa, ani rozpierania się francuskiej ladacznicy!... Poważył się mniemać, że za Weronę, Hochstadt, Hohenlinden i Lejbach należało mu się uszanowanie. Ośmielił się przeciwstawić siebie temu paniczykowi, ośmnastolatkowi, którego krewniaczka przebywa w kwaterze dowódcy.

— Jemu powiedziano, gdzie ma szukać odznaczenia. Jemu, Godebskiemu, którego marszałkowie cenić umieli, udzielono nagany wobec tych oficerów od putyfona, generałów z „pod blachy"!...

Godebski dopadł pozostawionego wozu. Adjutant Dobiecki rozmawiał był właśnie z szefem szwadronu artylerji konnej, Włodzimierzem Potockim. Pułkownik ledwie głową kiwnął na powitanie i zakrzyknął na woźnicę, by ruszał czymprędzej

Dobiecki, Świerzyński i Zabielski, zajęli miejsca na wozie.

Potocki zbliżył się do pułkownika i rzekł cicho.

— Dokąd pułkowniku, na pozycję?

— A cóż waćpan myślisz? — odparł opryskliwie pułkownik — wszyscy pić i grać nie mogą... muszą być i tacy, którzyby za siebie i tamtych pracowali.

— Prosiłem generała Fiszera, by mi pozwolił z baterją być w przedniej straży.

Godebski zmierzył piorunującym wzrokiem wątłą postać Potockiego.

— Waćpan do przedniej straży!... Ależ mości Potocki, tam przecież nie ma ani kart, ani kompanji do hulania — zawołał ostro pułkownik, zaczym skinął na woźnicę.

Konie pomknęły ku Falentom.

Godebski odsapnął ciężko, a chcąc usprawiedliwić się przed Dobieckim ze swej porywczości, ozwał się nagle.

— Nic podobnego w żadnym obozie nie widziałem! Pijatyka, zamęt... a co krok, takie panięta nosa do góry zadzierają i plotą, że żal się Boże słuchać!.. On do przedniej straży!... Chyba gdzie na socjecie u pani de Vauban! Cierpliwości nie staje! I kto, imć pan Włodzimierz Potocki, syn imć pana Szczęsnego! Tam, do Austryjaków by iść powinien, uniwersał nowy wydać, konfederację ufundować! A on tu się plącze!? I czegoż chciał od waszeci ten targowiczanin?..

— Panie pułkowniku!—rzekł cicho Dobiecki.— Serce w nim poczciwe! Szwadron artylerji konnej własnym sumptem wystawił. Garnie się do nas. Żałował właśnie, że mu iść z nami nie pozwolili!...

— I słusznie! Bo tu bitwa ma być, nie parada!... Hojny panek! Ma z czego! Rodzic jego z hańby, wstydu, sromu a upadku nie małe żniwo zebrał!..

— Panie pułkowniku! Czyż syn odpowiadać ma za winy ojca?!...

— Niech sobie z Bogiem adjutantuje przy sztabie. Wiedzieć nie chcę o całej czeredzie!... Waćpan się pytasz, czy syn za winy ojców nie odpowiada?!.. Obejrz się dokoła siebie!... Cóż widzisz?.. Myśmy nie na takie zapracowali czasy!.. Wieki się składały!... Odwet na nas spadł, my z dziedzictwa tego jeno bóle wzięliśmy!...

Godebski zapatrzył się w dal ciemną, ginącą śród ponurej pustki szumiącego nad drogą lasu. Głos Godebskiego zakołysał się ucichł, smutkiem ozwała się dusza żołnierza-poety.

— Poruczniku—mówił pułkownik — niech cię nie dziwi, że ostrym słowem witam one chęci, one zapały takich paniczów!... Snać i ty także tym samym poglądasz okiem w przyszłość co i tam, kędy dziś wytknięto mi niechęć do młodzieży... kędy pomówiono o zawiść może! Ciebie porywa ten sztandar, który łopocze nad główną kwaterą, ciebie ogłusza szczęk broni, dzwonienie ostróg, furkot chorągiewek ułańskich!... A tam hen, na wzgórzu zwycięstwa, majaczy ci się cień Bonapartego!.. Dzień jutrzejszy aż drży dla cię od jasności słońca, lazurów! W uszach brzmią ci litawcy, słyszysz gwardje cesarskie idące tu, nad Wisłę, tym samym krokiem, jakim szły w ogień Marengo, na baterje austerlickie, na iławskie granaty!.. Roją ci się może kapitańskie szlufy, w oczach czernieją wstęgi legji, a usta składają do okrzyku na cześć wybawcy, na powitanie wyzwolenia, na wschód dni promiennych, hardych nowymi kartami dziejów, dumnych nową epoką!... A wiesz ty, co cesarz powiedział, pamiętasz słowa jego wyrzeczone do tych, co witali w nim wskrzesiciela?!.. Pamiętasz, jak one lodem przejęły najgorętsze serca, jak bolesny zawód sprawiły najobojętniejszym. Cesarz rzekł: „zobaczę, czy godni jesteście być narodem!" Gorzka, cierpka odpowiedź, jak stal zimna, jak grom nieubłagany!... Zdawała się być urągowiskiem dla historji, zaprzeczeniem potęgi Chrobrowej, śliną, rzuconą na cienie Piastów i Jagiellonów... Bunt cichy, głuchy zawrzał, robak nieufności stoczył szeregi Bonapartowych przyjaciół!... Niechęć plon wydała obfity!... I patrz, co się stało?!.. Nieprzyjaciel o godzinę drogi rozwija może już linje bojowe, a tu garść żołnierzy, gromadka paniczów, a lud śpi, drzemie, trwa w odrętwieniu! Cha! Tych sił może i starczy na stoczenie dziesiątka bitew, ale nie na podniesienie ojczyzny z upadku!... Bo na to trzeba pokolenia ze stali i spiżu, pokolenia, któreby dlatego się poczęło, aby ledz, zginąć, którego męztwo wypełniłoby bezmiar opieszałości ojców, któreby jedną myślą żyło i szło wpatrzone w jedną gwiazdę przewodnią, co się zwie ziemią! A dopóki plemię Piłatów ojczyzny nie wyginie, dopóki nie narodzi się tak mocne zawołanie, coby groby rozwarło, zagasiło niechęci, stłumiło prywaty — dopóki ta niemoc, to szarpanie się, te skurcze rozpaczne trwać będą dalej. Cesarz nie poniżać nas chciał, lecz podnieść—nie tłumić zapały, lecz z iskier płomień rozniecić!.. On stanął tu, aby nam rzec, teraz czas na was!... Macie zaparcie na tej połaci Księstwa —dalej idźcie sami! —A w odpowiedzi zabrzmiał wyrzut: czemuż więcej nie uczynił, czemuż nie dał szerszych granic, czemuż całego nie podniósł rumowiska?

Cha! I dziś?... Wejrzyj w głębie myśli każdego z tych paniczów, a obaczysz tam imię Napoleona. nie przez siebie, przez krew własną — tylko przez jego armję, jego orły, jego armaty!... Jakby on nie miał już swoich rachub, swoich granic do obrony swojej ojczyzny!... Nie tak myślano u nas w legji!... Dąbrowski rwał się, aby mu wolno było wracać z wojskiem do kraju. Bonaparte był jeszcze w Egipcie i tylko generałem!... Żołnierz, idąc do boju, nie nadsłuchiwał, czy z za gór nie słychać bębnów, zwiastujących odsiecz! Szedł naprzód, a myślał tylko, jakby najdrożej sprzedać życie!.. Żołnierz umiał umierać!.. A zadanie to wielkie, trudne, bo raz tylko się umiera!

— Pułkowniku!—ozwał się gorąco Dobiecki. — Sądzisz, że w naszych szeregach jest mało takich, którzy ledz jutro potrafią?

— Nie wiem!... Złe przeczucia mnie porą!... Czasem w najlichszy oddział duch wstępuje... Ducha takiego umie budzić cesarz, umieli go niecić Lannes, Ney, Murat, Davoust, Bessiéres... W legjonach Dąbrowski jednym zawołaniem plutony zmieniał w batąljony—batąljonem rzucał na dywizję! Tu nie widzę nikogo!

— Książę Józef! — szepnął nieśmiało Dobiecki.

— Książę—odparł cierpko Godebski gra w pytfona.

Dobiecki westchnął nieznacznie. Pułkownik otulił się płaszczem i pogrążył się w zadumie.

Na tyle wozu tymczasem pan Tadeusz, siedząc około sierżanta Świerzyńskiego, zastanawiał się nad słowami Godebskiego, z których był ani wyrazu nie uronił. Gorycz, którą dźwięczał głos pułkownika, smutne wróżby—udzieliły się mimowoinie i Zabielskiemu. Karabin osunął się na ręku pana Tadeusza i potrącił sierżanta.

Świerzyński poruszył się niecierpliwie i upomniał

— Cóż ty smyku, rekrucie... niedołęgo... śpisz?!..

— Nie sierżancie, myślę!...

— Hę?!.. Pachnie ci odwach?! Myśli!... Ledwie mu patrontasz przewiesili, ledwie się to rusza w mundurze, jak ciele w kantorach i już ci smyk taki... rekrut... przemyśliwa...

— Pan pułkownik!?—próbował usprawiedliwić się Zabielski.

— Co pan pułkownik—oburzył się sierżant. — Pan pułkownik... to pan pułkownik a tyś rekrut, smyk, rekrut, niedołęga, szczygieł, trznadel, pokraka... licho wie co rośnie! — Milczeć!... Słuchać!... Twoja rzecz pluć w garść i karabin trzymać!!..

— Świerzyński a ty czego tam burczysz?! — zagadnął pułkownik.

— Nic panie pułkowniku... z rekrutem przepowiada się instrukcję!...

Było południe. Słońce, przebiegłszy połowę swej niebieskiej drogi, zawisło nieruchomie pod rozbłyszczonym błękitem i słało swe snopy złotopióre na równiny Mazowsza, przezierając każdy zakątek leśny, przeglądając się w modrych wodach Wisły, grzejąc kręte a wezbrane koryta Pilicy i Rawki.

Ziemia mazowiecka, jak gdyby chcąc zabiedz drogę światu i ciepłu, garbiła się, wyciągała ku niebu koronę, lip, jodeł, dębów, olch, brzóz i wierzb, wychylała z pośród zieleniejących traw białe główki pierwiosnków, chwiała krzakami jałowca, głogu i cierni, wciągała pełną piersią oddechy zefirów. Tylko lasy tarczyńskie, strojące Mazowsze grzebieniem sosen od południo-zachodu a lubiące drzemać o tej porze dnia a wypoczywać po długich rozhoworach, szumiały, dygotały w posadach, brzmiały pomrukiem pomięszanych głosów.

Tu i owdzie na skraju od Sękocina z poszycia leśnego wychylały się trwożne, wystraszone oczy,

migały nastawione słuchy a potem sunął w dali spłoszony szarak. Lasy huczały. Zwierz drobny mknął pędzony jakąś niepojętą nagonką a nie lada być ona musiała, kiedy odyniec, co lata przetrwał, co go raz jeden z matecznika królewskie polowanie ledwie ruszyć zdołało, co o nej pamiętnej potrzeby nosił dotąd chlubne oznaki — kulę zarosłą w grzbiecie i bliznę po zębach zajadłego ogara — stanął na drodze do Falent — zarył z pomrukiem kłami o ziemię i wypadł na równinę krwawym tocząc spojrzeniem.

Lasy huczały dalej — lecz huk ich przejmujący zdawał się przechodzić w jakiś miarowy rytm, jakiś poszum, w którym było tętno, który miał swoją melodję, swój ład, swój porządek.

Poszum szedł niby echo zbliżającej się kapeli: najpierw zaćmiony łomot wielkiego bębna przedziera się przez powietrzne fale, za łomotem basowy wtór puzonów zaczyna się wybijać i ledwie zabrzmi pełnią tonu już następują nań waltornie za waltorniami piszczałki za piszczałkami, drugie trąbki, a potem już każdy krok tamburmarsza nowe dźwięki niesie, coraz silniejsze aż póki kapela nie nadejdzie, nie zacznie gubić kolejno swych tonów, póki echa nie zatrą w niej melodji, póki nie umilknie znów w oddali.

Tak szumiały lasy tarczyńskie. A snać jęk ich nie był obojętnym dla milczącej okolicy — bo gdy w łonie ich pierwsze zerwały się odgłosy — z równiny raszyńskiej jęły się zrywać gromadki widet ułańskich. Jedne z nich zawracały konie i pędziły wyciągniętym galopem ku Warszawie — drugie parły lekkim truchtem naprzód z pistoletami w ręku i ostrożnie zapuszczały się w lasy, pragnąc cienie ich przeniknąć, odgadnąć.

Krótkie to były wywiady. Zanim słońce ruszyło ku zachodowi, zanim z poszumu leśnego dobyły się zgrzyty armatnich łańcuchów — padły pierwsze strzały. Widety ułańskie wyrwały się z gąszczów leśnych, tuż za nimi ukazały się karabiny łańcucha austryackich woltyżerów.

Raz jeszcze ułani zdarli konie, obrócili się na siodłach i dali ognia z pistoletów. Woltyżerowie odpowiedzieli salwą. Ułani szarpnęli cuglami. Konie wyciągnęły szyje, rozwarły chrapy i pomknęły.

Na czele wracającego rekonesansu galopował koń bułany, niosąc na swym grzbiecie zakrwawioną kulbakę oficerską.

Lasy tarczyńskie w ślad za woltyżerami wyrzucały za siebie pułk za pułkiem, bataljon za bataljonem, baterję za baterją.

Wojsko występowało z lasów, sprawiało się za głosem komendy w czworoboki, wyciągało w pasy dwuliniowych szwadronów, opatrywało broń, zaciągało popręgi u siodeł, odpinało klamry ładownic.

Generał Mohr objeżdżał szeregi i czekał na ostatnie rozkazy arcyksięcia Ferdynanda. Ordynans nadjechał niebawem od strony Nadarzyna. Rozkaz był krótki. Uderzyć natychmiast na pozycję nieprzyjaciela całym korpusem — wojska nadciągające będą wspierały akt.

Mohr zasępił się. Nie takiej był się spodziewał decyzji arcyksięcia, nie takiego czekał ordynansu. Jeszcze dwa dni temu na radzie wojennej przedłożył swoje plany, które zalecały najpierw zdjąć pozycję, rozwinąć całe siły, obejść lewe skrzydło nieprzyjacielskie, a potem dwie wydać bitwy: jedną armji, drugą... miastu. Arcyksiążę zdawał się był wówczas przychylać do zdania Mohra a mimo to, taką mu zgotował niespodziankę.

Mohr zaciął zęby — rozumiał, komu miał do zawdzięczenia ten rozkaz! „Była to robota Bruscha! Tego uperfumowanego naczelnika sztabu, który jemu, posiwiałemu w bojach generałowi, chciał imponować swoimi pułkownikowskimi epoletami, który umiał schlebiać gorącej, zapalczywej naturze arcyksięcia, który może tu chciałby pogrzebać jego sławę!... Zapomniał, że z Mohrem miał do czynienia, z Mohrem, co i pod Austerlitzem umiał zachować godność żołnierza i ocalić sztandar pułku.

Mohr zmarszczył się — przyłożył lunetę do oczu i badał długo rozpościerającą się przed nim równinę — poczym odwrócił się do adjutantów. Z ust jego jęły dobywać się rozkazy lakoniczne, nerwowe. Adjutanci rozprysnęli się w oka mgnieniu, wioząc oddziałom ordynanse. Trąbki i bębny zagrały. Generał stanął na czele korpusu. Sztandary pochyliły się. Pałasze zabłysły w słońcu. Korpus generała Mohra ruszył do boju. Armaty zatoczyły na skrzydłach dwa kręgi, przyczaiły się na pagòrkach i ryknęły, wyrzucając ze swych gardzieli grad kartaczy.

Cisza grobowa była odpowiedzią na pierwszą salwę bateryj austryackich, cisza i drugą powitała salwę i trzecią.

Komendant artylerji, pułkownik Gilet, zdumiał się i raz jeszcze zwrócił się do generała Mohra z zapytaniem.

— Czy nie wysunąć baterji naprzód?!

Mohr skrzywił się.

— Skąd ci taka myśl przychodzi pułkowniku!?

— Bo milczą!... Drzewa nie pozwalają sprawdzić celności strzałów!...

— Masz złą lunetę, jak na komendanta artylerji! Weź moją!.. Zobacz!

Gilet wziął lunetę, spojrzał i drgnął.

Niepojęte... granaty uderzają wprost w kolumnę... i giną w niej!... Stoją nieporuszenie na pozycji!...

— Dobrze stoją! Co?!... Ale my ich zaraz wyprowadzimy z odrętwienia! Drugi pułk wołochów!... Naprzód!...

Piechota wołoska pochyliła karabiny — krata bagnetów najeżyła się, drgnęła i podwójnym krokiem jęła sunąć ku szeleszczącej w dali drużynie, kędy stała przednia straż wojska polskiego, wysunięta przed wezbrane koryto wartkiej Rawki.

Generał Mohr nie omylił się w rachubach, wiadomości o zajętej pozycji nie zawiodły. Szyk bojowy wojsk księstwa warszawskiego, choć sformowany przezornie a rozważnie, nie zdawał się trudnym do przełamania! Ba zgniecionym musiał być za pierwszym atakiem, bo składał się z młodego żołnierza, bo miał za szczupłe siły do obrony tak szerokiego frontu, który zabezpieczał dostęp do miasta, bo pułki swoje i szwadrony zbyt zawadyacko rozrzucił.

Korpus arcyksięcia Ferdynanda szedł tuż za generałem Mohrem, szedł trzema drogami od Piaseczna, Nadarzyna i Tarczyna — dla zagrodzenia mu drogi, wojsko polskie zajęło Jaworów, Raszyn i Michałowice, szukając osłony w pasmie Rawki, a pierwsze bataljony swe wysunąwszy do Falent, dla rozpoczęcia bitwy, dla osłabienia ataku.

Lecz cóż te ośm tycięcy wojska znaczyło wobec trzydziestodwutysiącznego korpusu arcyksięcia, co ta garść pod Falentami zdziałać mogła przeciwko sprawnej i trzykroć liczniejszej dywizji Mohra?!.. Nie byłoż to śmieszną zachcianką Poniatowskiego, nie byłoż to chęcią popisania się znajomością wyższej taktyki bojowej — nie byłoż to bezcelowym junactwem?

Mohr w pierwszej chwili wolałby był zaniechać pośpiechu — ale teraz, przekonawszy się naocznie, że siły nieprzyjacielskie są rozrzucone, rozbite na drobne oddziały — uśmiechał się pod wąsem i spokojnie poglądał na idących do ataku Wołochów. Brusch na samego siebie te sidła zastawił — bo, kto wie, zanim nadciągnie najbliższa dywizja Civalarda, on... zmusi Poniatowskiego do cofnięcia.

Armaty austryackie grały, łomocząc kartaczami bez wytchnienia. Snopy dymów słały się, strojąc mglistymi wstęgami pagórek, na którym stał Mohr ze swoim sztabem.

Generał zaczął się niecierpliwić. Pułk Wołochów zdawał mu się następować nie dość szybko... Nareszcie odetchnął. Sztandar pułkowy był już na końcu równiny.

Wtem w oddali rozległy się chrapliwe dźwięki trąbki, a tuż za nimi salwa karabinowa i huk baterji. Kolumna Wołochów zniknęła wśród dymów, potem widać było, jak rzuciła się naprzód, zaszamotała i niby grzebień fali morskiej, uderzającej o nadbrzeżne skały, rozpadła się na dwie części, odparta jakby tą samą siłą impetu, z jaką natarła.

Mohr skinął na Wukasowicza. Stary pułkownik pierwszego pułku Wołochów odgadł był rozkaz. Zeskoczył z konia i z dobytym pałaszem porwał za sobą świeży pułk.

Tymczasem armaty polskie, raz się odezwawszy, huczały dalej — ścigając pomięszane szeregi pierwszego pułku ułanów, którzy napróżno chcieli się zewrzeć w czworobok, nowym atakiem nagrodzić porażkę. Armatom wtórzyła piechota, wyrzucając co chwila na odsiecz żelazu chmury ołowiu.

Wukasowicz zbliżał się szybko;—mimo witające go salwy nie dał się zatrzymać, nie dał zachwiać, nie dał przestraszyć.—Lecz czego nie dokonały kule sprawiły skotłowane szeregi pułku pierwszego, cofającego się w nieładzie. One nie zważając na wysunięte ku nim bagnety nadchodzącej odsieczy, niepomne na sygnały, chrapliwe okrzyki oficerów—sunęły na Wukasowicza.

Pułkownik rzucał sie jak szalony—płazował uciekających, groził, zagradzał im drogę pochylonymi karabinami—ale nie zapobiegł już złamaniu szyku, osłabieniu rozpędu.

Baterje polskie zdwoiły ogień. Wukasowicz musiał się cofać.

Mohr, patrząc na przebieg nieudanego ataku — zatrząsł się z gniewu i, zawoławszy na adjutantów, rzucił się naprzód ku cofającym się.

— Wukasowicz! Sprawiaj szeregi! Stać w miejscu!... Pod granatami się formować!... Ani kroku dalej!...

— Generale!...—próbował tłómaczyć się pułkownik.

— Milczeć! Rozkaz!... Wołać pułkownika von Poelten!..

Nieszczęsny dowódca pierwszego ataku stanął przed generałem.

— Pan żyjesz?

— Wyciągnięto mnie przemocą z szeregu!...

— Zebrać pułk natychmiast! Pójdzie naprzód

Lecz pamiętaj pułkowniku, że za wami staną buzary cesarscy!

Jedno drgnięcie, a każę roztratować was końmi!.. Naprzód!! Ocalcie przynajmniej honor!...

Upłynęła długa chwila zanim Wołosi zdołali wyciągnąć się, przywrócić porządek kompanji, zewrzeć bataljony i w czworoboki wydłużone się ustawić.

Mohr niecierpliwił się, a nie mogąc ataku się doczekać, raził z baterji nieprzyjacielską pozycję. Armaty austryackie sprawiały się dzielnie—kule coraz pewniejszą znajdywały drogę.

Polska artylerja chciała była utrzymać ogień — lecz gdy kartacze jej nie mogły dosięgnąć nawet wysuniętego naprzód łańcucha tyraljerów—umilkła.

Mohr ostatnie już wydawał rozkazy, gdy adjutant wskazał mu na wysuwającą się z lasu wstęgę bagnetów.

Civalard!—zawołał z ukontentowaniem generał, rozumiejąc, że mając za sobą dywizję Civalarda, może wszystkimi siłami uderzyć i nie osłabiać się rezerwami.

Mohr odrazu objął zmianę położenia.

— Ordynans do generała Civalard!

Porucznik huzarów zatoczył koniem przed Mohrem.

— Moja kolej służbowa, generale!...

— Generałowi Civalard zawieź wezwanie, aby z piechotą stanął za linją ataku, artylerję niech zwróci na lewo i posuwa się ku środkowi. Dwa szwadrony huzarów zaprowadź do osłony armat!...

Huzar zatoczył koniem i ruszył wyciągniętym galopem. Mohr zlustrował gorączkowo oddziały—korpus drgnął i jął następować szeroko rozwiniętym frontem.

Na przedzie łańcuch tyraljerów idących półkolem, a gotujących się do rozpoczęcia pierwszych zaczepnych strzałów. Za tyraljerami pułk von Poellena—pułk idący teraz krokiem zapamiętałym, rozpaczliwym, pułk idący ratować honor, idący na śmierć. Po bokach piechota Wukassowicza, rozdzielona na dwie kolumny, mająca wgryźć się w ramiona linji nieprzyjacielskiej. Za von Poeltenem błyszczący w słońcu huzarzy cesarscy, a za nimi w dali nadciągające pasma bagnetów Civalarda.

Korpus maszerował, hardo chwiejąc sztandarami, glusząc swym groźnym krokiem warczenie bębnów. Każde jego drgnienie, każdy krok śledziły bacznie baterje Gileta i z ponurym rykiem łomotały w dal, jakby drogę miotąc żołnierzom do zwycięstwa.

Mohr z zadowoleniem spoglądał na swoją kolumnę. Jeszcze chwila a garść nieprzyjaciela stopi się w ogniu, legnie pokotem, ciałami uściele przestwór do wdarcia się w środek pozycji obronnej. Potem może jeszcze będą się chcieli zmagać, jeszcze szukać oparcia... daremnie... Atak taki na serce frontu, to nóż, który wbija się, rozdziela siły, jednym uderzeniem zabija wszystkie plany, przewidywane obroty, rozkazy, instrukcje, wyklucza rachuby i oddaje całą armję na łaskę przypadku, na popłoch na zdemoralizowanie, a sztab niewoli do szukania ratunku w białej chorągwi parlamentarskiej.

Generał uśmiechnął się sam do siebie na ten wywód myśli, boć to, co się stanie, jego będzie zasługą.

W pierwszym ataku zważyło ich, lecz teraz idą, idą murem!

Lecz zawodne były wróżby Mohra, zawodne, bo choć jak na dłoni widział, że przednia straż polska nie liczyła więcej jak dwa bataljony i cztery działa, choć wyliczył i odsiecz tego bataljonu, co stał w dali przed groblą raszyńską, choć miał dwunastu żołnierzy na jednego, choć każde odezwanie armaty nieprzyjacielskiej zagłuszał rykiem swych baterji, nie przewidział największej przeszkody nie odgadł jej, nie odczuł... Przednia straż polska opierała się o lasek olszynowy. Strategja nauczyła Mohra baczyć na bory, na gąszcze, na porosłe drzewami parowy — lecz nie przestrzegła go przed wątłym zagajnikiem, przed gromadką olch, co zdawały się niezdolne być ani do osłony pozycji, ani do ukrycia zasadzki, ani do schronienia tyraljerów!...

I cóż te olchy stanowić mogły? Szarpały je kule, darły wątłą korę, osmyczały, gięły, targały — a one jeno chwiały koronami i szumiały żałośnie, a jęczały trzaskającemi gałęźmi.

Olchy!—Wieszczki tęsknic, potulne, ciche, ledwie niekiedy szeptem tajemniczym kołysane dotąd wśród leśnej szlachty, na szarym schadzające końcu.

Jawor miał piastowy indygenat, dąb Jagiełłowe wspominał czasy, lipa czarnolaskich słuchała pieśni, a pszczelne roje żywiła, kiedy to jeszcze ludy na Kupałę się zbierały, jodły słynęły zadumą i pieśnią, brzoza żałością, modrzew kraj cały dworkami zasiał i symbolem ich prawości się stał, grab z bukiem już się do zacniejszego towarzystwa naprzszał — jedna olszyna, mimo, że także od wieków swojej trzymała się ziemi, mimo że smukłe jej pnie padały gęściej pod toporem, nic nie miała, krom smętku

C. d. n.

Pogadanki Naukowe.

O ŻMUDZI I ŻMUDZINACH.

Żmudź leży dalej jeszcze na północ, aniżeli Litwa; graniczy z Litwą, Prusami i dotyka morza Bałtyckiego; rzeka Niewiaża odgranicza Żmudź od Litwy, Niemen od Prus, a Szwanta t. j. święta od Kurlandji.

Żmudź większa jest od od Księstwa Poznańskiego, przedstawia wielką płaszczyznę i pochyla się ku morzu. Wyniosłości, które tam górami zowią, jak góra Girniki, Szatrja, Gęsia i sławnia na całą Żmudź, góra Biruty w Połądze.

Wody ma Żmudź dostatek; liczne strumienie i rzeki zwilżają każdy zakątek tej ziemi. Rzeki te i jeziora, tudzież bliskie morze, dostarczają obficie ryb.

Chociaż na Żmudzi klimat ostry, mrozy tęgie, to Żmudzin jednak od zimna nie ucierpi, bo ma dostatek drzewa na opał, wełniaste owce na kożuchy, lisy, niedźwiedzie i wilczury na wytworniejsze odzienie. Ziemia jest urodzajna, dostarcza obficie zboża i lnu, a że Żmudzini są pracowici i oszczędni, przeto są zamożni, a nawet bogaci. Co rok wywożą wielkie zapasy lnu i pszenicy do portów: Rygi, Windawy, Królewca i Kłajpedy.

Żmudzki len jest sławny: na dwa łokcie długi, biały jak śnieg, a miękki prawie jak jedwab. Tylko nad morzem ziemia jest nieurodzajna, piaszczysta, ale Żmudzini zwożą na te chude pola porost z morza i tak pracowitością i staraniem zmuszają i wydmy piaszczyste do wydawania plonu.

Zato na wybrzeżu zbierają Żmudzini bursztyn, który morze wyrzuca i połów bursztynu przysparza mieszkańcom dochodu. Bursztyn nazywa się po żmudzku „gintaras", największej go morze wyrzuca w jesieni.

Żmudzini wyrabiają wyśmienity ser, zwany „kastynis". Koń nazywa się „arklis", niedźwiedź „meszka", góra „kalnas", gniazdo „lizdaj".

Widzimy więc, że wyrazy te wcale nie są podobne do polskich, bo też mowa żmudzka zupełnie jest odmienna od języków słowiańskich.

Żmudzini, Litwini i dawni Prusowie, których Krzyżacy wytępili, tworzyli przed laty jeden naród i jednym mówili językiem. Dotychczas Żmudzini rozumieją się z Litwinami, choć dziś język żmudzki jest trochę odmienny od litewskiego.

Nazwiska żmudzkie brzmią naturalnie także inaczej niż nasze, np. Jagajłło, Wodżbun, Swirtun, Dowojko, Szukszta, Kulwieć, Norwid, Misztołt, Litwajtsz i t. p.

Żmudzin jest tęgi, żwawy wesoły, szlachetny, pobożny, gościnny, pracowity, rządny i gorąco miłujący wszystko co rodzinne, swojskie; obcym nie dowierza, pijaństwem się brzydzi.

Domy wieśniaków są po części piękne, wysokie, z dużymi oknami, z kominem na dachu wyprowadzonym. W izbach czysto; podłoga wysypana jedliną, na ścianach obrazy świętych.

W największym poszanowaniu u Żmudzina jest próg. Kiedy nowy dom stawia; zwykle pod progiem zakopuje drewniany krzyżyk i jaką drogą pamiątkę po przodkach. Kto ten próg przestąpi, ten uważany jest za nietykalną osobę, za gościa, którego sam Bóg przysyła. Dlatego choćby wróg największy wszedł do domu, już go Żmudzin nie uważa za wroga, taka tam święta panuje gościnność.

Przed każdym domem jest wielki gościniec, ogrodzony sztachetami, a na środku rosną lipy albo jesiony, udzielając latem miłego chłodu i zdobiąc całą zagrodę. Opodal chaty stoi śpichlerzyk, zwany „świronkiem", tam Żmudzin chowa zboże, len, fuzję, a Żmudzinka swego wyrobu płótno, bieluchne jak śnieg.

Ubiera się lud żmudzki suto, strojnie i bogato. Chłop nosi kapotę z błękitnego sukna domowej roboty, pięknie naokoło zielonym jedwabiem wyszywaną, pas skórzany, torbę borsuczą, spodnie sukienne lub płócienkowe, na szyi chustkę kolorową, w zimie czapkę z lisiej skóry, a w lecie okrągły i wysoki kapelusz.

Kobiety zaś noszą katanki za kolana, bardzo fałdziste, spódniczki także suto fałdowane i dwie drogie chustki: jedną na głowie, drugą na piersiach, a na szyi paciorki bursztynowe.

Mimo pobożności zachowało się jeszcze na Żmudzi mnóstwo dziwnych obyczajów i zabobonów, pochodzących jeszcze z pogańskich czasów. Naprzykład w Wielki czwartek gospodarz wyprawia domownikom ucztę, a po uczcie bierze zapaloną świecę, gasi ją, rzuca w kąt i mówi: „Jak zgasła ta świeca, tak niech zgasną oczy naszych nieprzyjaciół i niech zginą na wieki".

W Wielką Sobotę prządki chowają kołowrotki i wrzeciona, bo gdyby ich nie schować, to cały rok będzie się spotykać węże. W zielone świątki wyprawiają sobie pasterze ucztę w lesie. Stroją się przytym w polne kwiaty, i śpiewając na cześć bożka Ganiklinisa, tańczą naokoło ogniska. Święto to nazywa się „Bandinikaj" i przypomina Sobótkę. W dzień św. Szymona i Judy modlą się za dusze zmarłych i wyprawiają nieboszczykom ucztę, którą nazywają Pamieniekły. Uroczystość ta nazywa się także Dziady.

Rozmaitości.

HISTORJA SKÓRKI CHLEBA W PARYŻU.

Pewien publicysta francuski wziął udział w zebraniu gałganiarzy paryskich i tam jeden z uczestników powierzył mu sekret, poniekąd „socjalny", w jaki sposób podaje się Paryżanom, oczywiście za pieniądze, brudy, zebrane ze śmietników ulicznych, do spożywania.

Otóż kucharka wyrzuca codziennie do pudła pozostałości z obiadu, których użyć nie można. Są tam kości, kawałki tłuszczu, łupiny warzyw lub owoców, skórki chleba. Pudło to wypróżnia następnie do śmietnika na dziedzińcu, ale zanim przeznaczone ku temu organa przyjdą je wyprzątnąć, przybywa gałganiarz, uzbrojony w worek i haczyk, przetrząsa brudną zawartość i zabiera,co dla niego jeszcze jest bardzo dobrem. Wśród rzeczy, które bierze, znajduje się także skórka chleba. Po powrocie do swego zakątka, gałganiarz wysypuje zawartość worka i bada skarby swoje Jednym rzutem oka ocenia ich wartość i klasyfikuje.

Skórki chleba, zebrane z błota i śmieci, dzieli on na trzy gatunki: Z jednej strony te, na które „idzie do ust ślinka", jak dosłownie brzmi określenie gałganiarza. Do drugiej klasy należą skórki, które już się zamieniły na jakąś papkę tłustą i wstrętną i wreszcie pośrodku kładzie te, które nie są ani za dobre, ani za liche. Pierwsze stanowią obiad gałganiarza. Nickiedy posiłek ten staje się doskonały, gdy worek zawiera jakieś resztki mięsa, głowę kurczęcia i t. p. Wszystko to oskrobane, wypłukane, gotuje się w wodzie i daje wonny rosół, który uraczy rodzinę gałganiarza.

Stos skórek „jadalnych" przynosi nadto dochód. W samej rzeczy, jeśli żniwo było obfite, gałganiarz sprzedaje resztki swego obiadu, co przychodzi mu łatwo, gdyż obok jego nory mieszkają biedacy, którzy nie mają co jeść i żywią dzieci swoje brudnymi skórkami, wydobytymi ze śmietników paryskich.

Nie koniec na tem. Rano, kiedy niebo jeszcze szare i zaledwie zaczyna przybierać różowe blaski, na rogach ulic już widać otwarte małe, nędzne handelki, pełne ogromnych worów ze skórkami gałganiarza, sprzedają je po dwa sous za funt. Przychodzą kobiety i kupują je na zupę dla dzieci. Są to „karmicielki" dzieci biedaków, którzy nie mogą zatrzymać przy sobie niemowląt z powodu swego zajęcia, oddają je „na pensję" w Clichy, Puteaux albo Pantin za trzydzieści do trzydziestu pięciu franków miesięcznie. Nieszczęśliwi nie wiedzą, że ich biedne dzieci karmią się skórkami chleba ze ścieków.

Drugi stos skórek, średniego gatunku, sprzedaje się również, lecz za niższą cenę; za jeden sous, a nawet mniej za funt. Kto kupuje owe skórki chleba? Czyżby jeszcze istniały żołądki żądne takich łakoci? Tak jest, ale tym razem są żołądki zwierząt... Skórki zamienia się na ciasto, którym się karmi kury, króliki, świnie i t. d.

Trzeci stos jest najwstrętniejszy i wydaje odór, od którego odwracają się nawet zwierzęta. Jak go spożytkować? Sprawa to wcale nie trudna. Istnieją fabryki, których właściciele zbogacili się zakupowaniem tego gatunku chleba. Wrzuca się je do rodzaju pieczyka do palenia kawy, a kiedy już dobrze spieczone, miele je się na proszek i przesiewa przez sito. Grubsze okruchy odkłada się na bok i sprzedaje... restauratorom, u których można dostawać obiady za 75 centymów, lub za franka. Do tych restauracyj uczęszczają biedni urzędnicy lub drobni mieszczanie.

Upalony proszek służy do posypywania kotletów! Czegóż żądać! Jeśli za franka podają zupę, dwie potrawy i deser, to trzeba robić jakieś oszczędności! Masło — to margaryna, królik — to kot, polędwicę wołową wykrawa się ze starego konia dorożkarskiego, glazura otaczającą kotlet, nie jest niczym innym, jak skórka ze śmietnika, którą pogardzily zwierzęta. Ale to jeszcze nie wszystko, gdyż oprócz „glazury" jest w sicie proszek jeszcze bardziej miałki i palony, który również ma swoje przeznaczenie, spódniczy, przemysłowcy kupują go, pakują w srebrne papiery i sprzedają jako cykorję „ekstra", albo też proszek do zębów!

Filozof który powiedział: „Nic się nie stwarza i nic nie ginie", — znajduje tu potwierdzenie swego zdania.

GIMNASTYKA U NARODÓW SŁOWIAŃSKICH.

W Bułgarji założycielem towarzystw gimnastycznych jest nauczyciel Wasyl Levski (1867). Ćwiczenia przeżeń prowadzone miały za cel wychowywanie wojowników za wolność ojczyzny. Kiedy tę wolność już Bułgarzy uzyskali, wprowadzono z pobudki generała Vazova gimnastykę jako przedmiot naukowy do szkół średnich, ale z braku nauczycieli powierzono naukę gimnastyki oficerom i podoficerom. Reformę tej nauki przeprowadzono w duchu cywilnym i zachodnio-europejskim w r. 1894, kiedy nauczycielami gimnastyki w bułgarskich szkołach średnich minister Zivkow mianował 10 Szwajcarów, a ci wykształcili także pewien zastęp Bułgarów nauczycieli gimnastyki.

Podobnie w Serbji wprowadzono gimnastykę w zakres nauki w szkole średniej od roku 1882, podobnie i tu byli nauczycielami pierwszymi oficerowie. Dla szkoły serbskiej wydano nawet plan ćwiczeń gimnastycznych, w klasach niższych ćwiczą się uczniowie tylko w sprawności i pochodach, a uczniowie klas wyższych dostają broń w rękę i ćwiczą się nawet w ostrym strzelaniu. Gimnastykę zaprowadzono także w seminarjach nauczycielskich, szkołach przemysłowych i... teologicznych. Z końcem roku odbywają się popisy (niby egzamin) na boisku wojskowym wobec ministra wojny i inspektorów gimnastyki, których minister mianuje dla każdego zakładu osobnego. Od r. 1905 istnieją w Belgradzie sześciomiesięczne kursy dla nauczycieli gimnastyki w szkołach średnich.

W Czarnogórze gimnastyka jest obowiązkową w ludowych i średnich szkołach, a w najwyższych klasach zaprowadzono nawet ćwiczenia wojskowe.

Rosja już w r. 1804 wyznaczyła statutem uniwersyteckim miejsce między przedmiotami szkolnymi tańcom, muzyce i gimnastyce, lecz tej gimnastyki nie było nigdzie poza literami na papierze. Dopiero od r. 1872 gimnastykują się ale małe wynagrodzenie nauczycieli nie wabi cywilnych, więc podoficerowie znaleźli tutaj zarobek uboczny. Także w pedagogiach i żeńskich szkołach średnich gimnastyka jest przedmiotem szkolnym. Stanowiska nauczycieli gimnastyki w towarzystwach i sokolniach, a także w szkołach rosyjskich obejmują w ostatnich latach Czesi (w 20 zakładach r. 1908), których tam wysyła „sokół" praski, mający dziś znaczenie akademji gimnastycznej dla innych Słowian.

W ziemiach chorwackich istnieje gimnastyka w r. 1871 już w 14 szkołach średnich Bausziny i w 6 pogranicza wojskowego; terminologja i tu i tam jest niemiecka, nauczycielami Niemcy. Kiedy w r. 1874 naukę gimnastyki wprowadzono do szkół średnich wszelkiego typu i do szkół pospolitych, wprowadzono i komendę chorwacką, a twórcą terminologji chorwackiej był And. Hajdonak. Za pobytu Hohmanna w Zagrzebiu gimnastyka kwitnie w szkołach średnich zagrzebskich jako obowiązkowy przedmiot, ale od jego śmierci, zajęcie osłabło i szkoły zagrzebskie zostały nawet urzędowo uwolnione od nauki gimnastyki obowiązkowej. Dzisiaj umiłowanie dla ćwiczeń gimnastycznych podtrzymuje i szerzy dr. Bucar, który przez rząd bywał wysyłany do Niemiec, Czech i Szwecji, ażeby postępy gimnastyki poznać na miejscu.

SYGNAŁY Z MARSA.

Mars, planeta najbliższa z planet górnych, t. j. z planet bardziej, niż ziemia od słońca oddalonych, z dawien dawna przez astronomów obserwowana, nie przestaje w dalszym ciągu zaprzątać umysły badaczów nieba, którzy sądząc z widocznych, przez szkła odpowiednie, sieć ciemnych smug prostolinijnych, czyli kanałów, misternie, jakby ręką ludzką przekopanych, przypuszczają istnienia na nim istot żywych.

Najdalej jednak pod tym względem zaszedł znany astronom francuski, Jonkher, dyrektor obserwatorjum w Hamie, który rozpatrując nanowo podjętą w ostatnich czasach sprawę o sygnałach między ziemią naszą a Marsem, doszedł do nader sensacyjnego wniosku, a mianowicie, że z Marsa przesyłają już do nas sygnały, podczas gdy my na ziemi naszej rozmawiamy o tem.

Astronom francuski daje na to następujące dowody:

11 sierpnia [n. st.] r. b., zauważono przez teleskop na Marsie biegunowy, nieslychanie pustynny obszar, okryty lodem i śniegiem.

2 października ѣd zniknął i pokazała się długa wąska smuga.

29 października na miejsce smugi wąskiej, zjawił się szeroki kanał na 1,000 kilometrów, w przybliżeniu, długi i 92 szeroki.

Uczony Francuz wywnioskował, że szybkie zmiany, które w żaden sposób nie należy przypisywać warunkom przyrodzcnym, zostały wywołane sztucznie i są sygnalizacją z Marsa, przesyłaną naszej ziemi.

Niemiecki astronom, dr. Arhengold, dyrektor Treptowskiego obserwatorjum, sądzi, że, że zjawisko zaobserwane jest niczym innym, jak systemem kanalizacji, przeprowadzonym jedynie w celu przeszkodzenia rozlewowi wód.

MARMURY W MORZU.

Na ostatnim posiedzeniu paryskiej „Akademji napisów" zdawał po raz pierwszy sprawę dyrektor starożytności tunetańskich Merlin z nadzwyczajnych rezultatów, osiągniętych w ciągu maja i czerwca bieżącego roku przez nurków zajętych przy Mahdii. W głębinach morskich, dosięgających 40 metrów przy wybrzeżu wschodnim przy Tunisie, odnaleziono przed dwoma laty nawpół zasypane pozostałości statku morskiego, który miał bogaty ładunek materjałów budowlanych oraz greckich dzieł sztuki. Dzięki kilku subwencjom, zorganizowane zostało zbadanie tych zawartości. Odnaleziono tam całe skarby napisów, dzieł sztuki zarówno marmurowych jak i bronzowych, narzędzia staro-greckie i wiele innych. Z tej podmorskiej kopalni marmurów wydobyto najpierw wielką kolumnę z białego marmuru z pięknymi, szayrmi żyłami: kolumna ta ma długości 3.95 metrów. Nurkowie skonstatowali tam blizko 60 takich kolumn, które już w przyszłym roku będą wydobyte. Z otrzymanych dotychczas skarbów zwraca przedewszystkim uwagę rząd japońskich kapiteli, następnie wielka ilość naczyń pękatych, waz, oraz różnych coramicznych wyrobów. Ale na tym nie koniec. Nurkowie wydobyli bardzo piękny, choć nieco uszkodzony posąg Erosa Androgyny, przedstawiający bożka w biegu. W lewej wyciągniętej ręce trzyma on pochodnię; cała statua stanowi lampę. Bogaty zbiór meblowych fragmentów umożliwia odtworzenie całkowitych łóż. Prócz tego odnaleziono figurę tańczącego amoru i drugą, przedstawiającą aktora w brodatej masce. Jedną z najpiękniejszych rzeczy jest głowa kobiety, pełna siły i wyrazu. Merlin jest zdania, że statek wiózł ładunek z Attyk, a rozbił się w końcu pierwszego wieku przed Narodzeniem Chrystusa.

WŁADYSŁAW SYROKOMLA

DYFFERENCJA.

Gawęda zaściankowa.

I.

Starzy szlachta tam pod miedzą
Na naradzie ważnej siedzą,
A w około młodzież wrząca;
Tysiąc gniewnych słów wytrąca,—
Lud się na dwie strony dzieli,
Błyszczą ostrza karabeli.

Pan komornik z sznurem stawa;
Woźny wznosi papier w górę,
Słowem, jakaś już rozprawa,
I *de hajda*, i *de jure*.
At mospanie, któż i kiedy
Przywileje szlachty zaćmi?
To jest zatarg między braćmi
Przy podziale swojej schedy.
A u szlachty takie chucie:
Że gdzie sprawa, tam i wrzawa,
A gdzie wrzawa tam i bitwa,
Potem kończą na statucie,
Potem kielich i modlitwa.
Szlachcic poczciw—bo ma duszę,
A wrzaskliwy—bo szlachetny,
Urodzony—nie sławetny,
I niestraszne mu ratusze!
Proces w sądzie—to nie boli,
A zabawka niezła wcale;—
Więc brat z bratem przy podziale
Zabijacko się warcholi.

Ich się ojcu niegdyś szczęści,
Dość zostawił dla nich mienia,
Co dziś dzielą na dwie części,
Wedle Boga i sumienia.
Dzielą słusznie, jak wystarczy,
I grosiwo, i śpiżarnię,
I oborę, i owczarnię,
I nabytek gospodarczy.
Potem, z obu stron namowy,
Pan komornik przez zagony
Ciągnie sznurem na dwie strony
I wydziela dwie połowy.

Zatknął wiechę stroją w liście,
Wsunął cyrkiel za popręgę,
I zawołał zamaszyście:
—„No, skończyliśmy mitręgę!
Waść, sądowy *generale*.
Mości strony i starszyzna!
Niech mi teraz każdy przyzna,
Żem wydzielił doskonale.
Ot jak z boru do sosenki
Idzie ścianką ta dróżyna,
Stefanowe z prawej ręki,
A co z lewej—to Marcina,
A zaś młynek i zatoka
Służą obu jednostajnie.
Równe schedy, jak dwa oka,
Nawet pręta nikt nie stracił;
Mierzę słusznie nieprzedajnie,
Bo mię żaden nie zapłacił,
Nie skaptował, nie przyodział,—
Ot i sprawa i rozprawa!
Pytam trzykroć wedle prawa:
Czyli zgoda na mój podział?"

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Drobiazgi.

PODLOTEK.

Wszyscy się ze mnie śmieją? Jeżeli mama upierać się będzie przy tym, by mię po dziecinnemu ubierać, to ja opowiadać będę, że mama jest moją... babką!

— Pan siedziałeś w więzieniu? Dlaczego?
— Nabiłem porządnie kupca, który mimo moich częstych odwiedzin nie chciał mi dać zamówienia.
— Możesz pan w tej chwili objąć po mnie posadę komiwojażera.

AVENIDA LUIZ XAVIER 26 (RÓG LARGO OZORIO)
W KURYTYBIE

SKLEP POLSKI

„Unia"

Sprzedaż hurtowa i detaliczna

Koloniści znajdą u nas olbrzymi wybór płócien wszelkiego rodzaju, materje bawełniane i wełniane, krajowe i zagraniczne na ubiory dla mężczyzn i kobiet, ubrania gotowe, spodnie, koszule, kalesony, ręczniki i t.d.

Najrozmaitsze gatunki wstążek, koronek, guzików, igieł, bawełny do robienia pończoch, skarpetki i pończochy, grzebienie, broszki, pierścionki i t. p. drobiazgi.

! CHUSTKI WEŁNIANE !

Więcej niż 50 gatunków kapeluszy pilśniowych i słomianych

PARASOLE I PARASOLKI !

Pługi, sieczkarnie, kosy, szpadle, motyki, siekiery, grace, miski, kubki, dzbanki, wiadra i t. d. — MASZYNY DO SZYCIA. —

Baczność!

Sprzedajemy jak najtaniej, aby sprzedać dużo. To nasza zasada.

Skóry i nici dla P.P. Szewców

Harmonie dla szkół i kościołów

A. EUSTACHIO SILVA

PLAC TIRADENTES, RÓG UL. ALEGRE

Handel materjałów bławatnych, galanteryjnych, parasoli i t. d.

ŻELAZO, FARBY OLEJNE.

SPRZEDAŻ HURTOWA I DETALICZNA

Ceny niżej wszelkiej konkurencji.

Okazja!

Dobrze wygrane skrzypce z smyczkiem są natychmiast za 35$000 do sprzedania.

CEZAR SCHULZ

Ul. Barão do Serro Azul—l. 12 i 14.

KURYTYBA

RZECZYWISTA LIKWI ACJA

Koniec roku.

SKLEP Habib Kall & C°

Wielki wybór materjałów letnich i zimowych

Wełny, jedwabie, tkaniny bawełniane, kołdry, szale, ręczniki, krawaty, kapelusze słomkowe dla panów i pań, parasole, pończochy i wszelkie towary galanteryjne.

ZEGARKI ZŁOTE DAMSKIE

— UBRANIA GOTOWE, KOSZULE. —

Wszystkie towary sprzedają się po cenach niebywale nizkich

Dajemy rabat 5% przy zakupach większych od 20$

PERFUMY W WIELKIM WYBORZE

Materje tanie od 200 rs. za metr

Korzystajcie z okazji kupienia dobrze i tanio.

Kupujący więcej jak na sto milów ma prawo do pięknego premjum

HABIB KALL

Praça Municypal No. 1

CYRITYBA.

UWAGA!

Nowy i wyborowy transport

Książek do nabożeństwa

i innych religijnych, jakoteż kalendarze

KATOLIK

NA ROK 1910

dopiero co nadeszły z Europy

CENY JAKNAJTAŃSZE

Cezar Schulz

ul. Barão do SerroAzul l. 12. i 14

KURYTYBA

Estado do Paraná

— Adres Marechal Floriano Peichoto N. 10 —

Biuro Porady Prawnej

DR. VIEIRA DE ALENCAR & KAZIMIERZ WARCHAŁOWSKI

Prowadzi wszelkie sprawy sądowe i w sekretarjatach.

Załatwia reklamacje w sprawie podatków

Działy familijne

Pomiary sądowe i prlubowne.

Wszelkie podania (requerimento) do prezydenta, sekretarjatów, sądu, kamery, policji.

Kupno i sprzedaż

ZIEMI PRYWATNEJ I RZĄDOWEJ

Dział specjalny

Prawne porady listowne po polsku we wszelkich kwestjach prawnych, cywilnych i kryminalnych.

Biuro przyjmuje prowadzenie spraw w Kurytybie, jak również we wszystkich miastach i kolonjach Parany.

KORESPONDENCJA I PORADY

po polsku.

Handel hurtowy win

Interesa komisowe i składowe i kupno na rachunek własny.

Quadros & Irmão

Ul. 15 de Novembro No. 84 Curityba.

Wyłączni importerzy słynnych win Porto marki „MOSQUETEIROS" i „PORTO HEROICO" i wina „Villa Fria".

Stale na składzie: cukier, ryż, wódka, kawa, wina miejscowe, proch, farby, konserwy, oliwa, trunki wszelkie, ryby suszone i wszelkie artykuły „seccos e molhados".

SPRZEDAŻ HURTOWA

CENY NAJNIŻSZE.

SŁYNNE OŁÓWKI

Fabryki St. Majewskiego

Najlepsze!

Najtańsze!

Do nabycia w Księgarni Polskiej.

Sprzedaż hurtowa i detaliczna

Nie nabywajcie nigdzie ołówków, nie obejrzawszy OŁÓWKÓW MAJEWSKIEGO, gdyż są one od wszystkich tańsze i lepsze.

★ POPIERAJCIE

PRZEMYSŁ

★ POLSKI

Wielka likwidacja

MATERJAŁÓW ŁOKCIOWYCH DLA KOLONISTÓW

WYPRZEDAŻ PO CENIE KOSZTU I NIŻEJ

SKŁAD

Affonso Penna

Fryderyk Keller

KURYTYBA — LARGO DO MERCADO.